

**Bartłomiej Sienkiewicz**

Historia pewnego złudzenia

Mam w pamięci wielką salę wypełnioną niskimi regałami z niezliczonymi przegródkami, a w nich tysiące, setki tysięcy karteczek. Razem z Wojciechem Brochwiczem chodzimy między tymi regałami oprowadzani przez jakiegoś dyrektora tego niezwykłego archiwum. Jesteśmy w sercu systemu, który zaledwie rok temu był dla nas złowrogą maszyną. Teraz zaznajamiamy się z jej działaniem. Ta sala to miejsce przechowywania rejestrów zasobów archiwalnych MSW, a te karteczki to słynne koordynatki, czyli „piętnastki” pozwalające sprawdzić, czy dany obywatel znajduje się w zainteresowaniu służb i ewentualnie jakich. Pytamy naszego usłużnego przewodnika o system działania tego archiwum, jego słabości, luki. Nasz „cicerone” pierwszy raz podejmuje ludzi „stamtąd”, z opozycji, którzy teraz stali się w pewnym sensie jego przełożonymi. „– O, tu są Pana „piętnastki” – mówi, pokazując zafoliowany plik w segregatorze na literę „S” – proszę sobie zobaczyć, proszę ...”

W milczeniu mijamy regał i jakbyśmy się umówili pytamy obojętnie dalej o sposoby uzupełniania informacji i problemy ze współpracą z innymi służbami państwowymi. Chyba zrozumiał, nie nalega dalej.

Przytaczam tę scenę, bo jest ona symboliczna dla tamtego czasu, kiedy to grupa młodych ludzi z opozycji znalazła się w czerwcu – lipcu roku 90 w położeniu likwidatora komunistycznej Służby Bezpieczeństwa i zespołu powołującego Urząd Ochrony Państwa. Ale symbolizm tej sceny zawiera się także w odrzuceniu propozycji badania przeszłości (w tym przypadku własnej...) i koncentracji na zadaniu, jakie niesie czas przyszły. To także historia pięknego złudzenia, jakie może żyć tylko ktoś młody, nie dotknięty jeszcze gorzką prawdą o związkach polityki i pamięci.

Ale żeby to zrozumieć, trzeba tę opowieść zacząć od początku.

* * *

Na pytanie jak to się stało, że Wojciech Brochwicz, Piotr Niemczyk, Konstanty Miodowicz, Piotr Stachańczyk i ja, znaleźliśmy się wprost z bruków Krakowa, Białegostoku i Szczecina w gmachu na Rakowieckiej, jako pierwsi współpracownicy ministrów Kozłowskiego i Milczanowskiego, jest właściwie jedna odpowiedź: bo byliśmy szaleni. Nie byliśmy ani najbardziej zasłużonymi opozycjonistami w swoich środowiskach, ani ekspertami wyróżniającymi się wiedzą o mechanizmach władzy. Przed nami składano tę propozycję innym, lecz wszyscy odmawiali. Byliśmy pierwszymi, którzy się zgodzili. Jeden pociągnął za sobą drugiego, drugi trzeciego i tak stopniowo

przysłowiowa Rakowiecka zaludniała się osobami bez doświadczenia i w „niesłusznym” wieku, za to z pewnym rodzajem radosnej determinacji, jaką daje przekonanie, że jest wielkie dzieło do wykonania. I jeszcze jedno: wszyscy staliśmy się wielbicielami Krzysztofa Kozłowskiego, po pierwszym z nim spotkaniu. Byliśmy zwolennikami jego wizji resortu, stosunku do ludzi, pasji powściągliwego działania okraszonego uśmiechem. Kozłowski postępował z nami w sposób niezwykle wyrafinowany – uznał, że jeśli znaleźli się w końcu szaleńcy, którzy zgodzili się go wesprzeć, to trzeba dać im wolną rękę i powierzyć maksimum odpowiedzialności. Odpowiedzialności, której ciężaru mógłby nie unieść ktoś starszy i o większym doświadczeniu życiowym... Minister Kozłowski stał na stanowisku, że albo całe przedsięwzięcie się uda i odniesiemy sukces, albo nie podołamy i się naturalnie wykruszymy. W tamtym czasie jednak poza nami nie miał alternatywy. Tak, to było w stylu Ministra Kozłowskiego. Podobnie jak jego relacje ze starymi funkcjonariuszami resortu, oparte na równie perwersyjnym założeniu: „przyjmuję w dobrej wierze, że jesteście w gruncie rzeczy porządnymi ludźmi i jestem gotów wam zaufać. To znaczy, zatrudnić w wolnej Polsce, a tym samym pomóc wam stać się we własnych oczach porządnymi ludźmi. No, ale jeśli ta oferta nie zostanie zrozumiana...”. Ale nawet rozstając się z tymi „nierozumiejącymi”, czynił to w sposób pozostawiający u nich poczucie wdzięczności. W atmosferze tamtych dni, pełnych przecież decyzji o likwidacjach, zwolnieniach, reorganizacji, nie było nic z polowania czy odwetu. Nie chodzi o wybaczenie, jak to zarzucają krytycy, czy uznanie ludzi SB za „pracujących dla Polski inaczej”, jak sami lubili (i lubią do dziś) się przedstawiać. Było to na chłodno podjęte i racjonalne założenie, że skoro strażnicy komunizmu przegrali razem z nim, nie ma powodu aby dodatkowo ich upokarzać. Mogłoby to, bowiem, przeszkodzić w szybkiej likwidacji tego, co stare i utrudnić powstawanie Nowego. Nikt wtedy nie miał złudzeń, że nowe państwo polskie ma możliwości kontroli i zwalczania ludzi dawnego systemu, jeśli postanowiliby się temu państwu przeciwstawić. Siłą napędzającą zmianę władzy było raczej przekonanie o moralnej klęsce systemu, od którego wszyscy się odwrócili. A więc należało postępować tak, by nie prowokować frustratów. Z dzisiejszej perspektywy, ta ostrożność może wydawać się ponad miarę, lecz wtedy, w roku 1990, każdy człowiek, który przekraczał rano bramę gmachu przy Rakowieckiej, był dla nas zagadką: nie wiedzieliśmy co robił wcześniej, z kim utrzymywał kontakty (dotyczyło to także rezydentów KGB w Warszawie) i co robi, gdy w końcu się dowie, że jest zwolniony. Wiedzieliśmy za to, że każdy z nich posiadał służbową broń, że jest przeszkolony w zakresie działań operacyjnych, i że posiada kontakty, których rozbicie i neutralizacja zajmie lata.

Dodatkowo, cały ten tłum funkcjonariuszy aparatu represji PRL miał nadal swojego wodza. Generał Kiszczak, minister spraw wewnętrznych w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, wciąż rezydował w gabinecie na trzecim piętrze gmachu na Rakowieckiej, razem ze swoimi generałami i mającymi na względzie własne korzyści osobami zaufanymi. Stwarzało to podwójnie trudną sytuację: z jednej strony trzeba było przeprowadzać likwidację SB i budować nową służbę, a z drugiej – tego typu osoby wciąż miały swojego politycznego patrona stojącego na czele resortu. Kozłowski, Milczanowski i tych kilka osób, które na początku znalazły się wraz z nimi, działało więc między Scyllą i Charybdą. Ustawy „policyjne”, jak je wtedy nazywano, przyjęte w kwietniu 1990 r., nakazywały przeprowadzenie weryfikacji dawnej SB i stworzenie na jej miejsce nowej służby w czasie, w którym właściwie było to niewykonalne – do 31 sierpnia 1990. Pierwsze osoby spoza nominatów politycznych pojawiły się w czerwcu; na realizację tego założenia pozostawały de facto niespełna trzy miesiące. Trzy miesiące na weryfikację

dwudziestopięciotysięcznego korpusu w skali całego kraju, rozpoznanie z kim można pracować i na kim polegać, na organizację Urzędu Ochrony Państwa wraz z opracowaniem wszystkich aktów wykonawczych pozwalających na funkcjonowanie tej instytucji w sensie prawnym. Do tego z Kiszczakiem jako szefem całego resortu, do czasu wydzielienia UOP. Sytuacja polityczna więc wymagała szczególnej ostrożności połączonej z determinacją w działaniu. Z perspektywy lat można powiedzieć, że ustawodawca wpiął w projekt przekształceń ich powierzchowność. Do nas należało zrobienie wszystkiego co możliwe, aby takie rozwiązanie prawne nie przerodziło się we własną karykaturę.

* * *

Po przyjeździe do Warszawy zostałem ulokowany w hotelu „Karat” na ulicy Słonecznej, gdzie, jak się okazało, zostali ulokowani wszyscy „nowi”, łącznie z ministrami. Przestałem tam mieszkać pewnego sierpniowego popołudnia, gdy zostałem poinformowany, że moi szefowie zdecydowali o przeniesieniu mnie do strzeżonej willi MSW, położonej w głębi Mokotowa. Miałem zabrać tylko rzeczy osobiste i zostać zawieszony do nowego kwaterek. Powód takiej przeprowadzki poznałem niebawem – jakiś pijany funkcjonariusz, wymachując bronią przed nosem recepcjonistki, domagał się wejścia do pokoi, gdzie mieszała ci, którzy go skrzywdzili. W tym kontekście padało i moje nazwisko. Trwała, bowiem, weryfikacja; rozpoczęło się „czyszczenie” SB, a ten incydent był tego efektem.

W początkowym okresie pełniłem funkcję swojego rodzaju asystenta Krzysztofa Kozłowskiego, byłem człowiekiem od „wszystkiego”. Pomagałem Wojciechowi Brochwiczowi w organizacji sekretariatu Komisji Weryfikacyjnej, obierałem sprawy od ministra do „szczegółowego zbadania”, zajmowałem się projektowaniem struktur przyszłego Urzędu Ochrony Państwa, współpracując z ministrem Milczanowskim. I rozmawiałem. Właściwie głównie rozmawiałem. Przez mój pokój przewijały się setki osób: funkcjonariusze chcący podzielić się wiedzą, liczący tym samym na wdzięczność przy naborze do UOP, dyrektorzy pionów i biur, którzy relacjonowali czym zajmują się podległe im jednostki, ludzie z „ulicy” przychodzący z rekomendacjami na przyszłych pracowników UOP i dziesiątki innych osób, których już nie pamiętam. Ale zdarzali się i tacy, z którymi prowadziłem wspólne, do tej pory owocujące działania w nowych okolicznościach. Takim rozmówcą był pewien pułkownik (potem generał), który wkrótce rozpoczął organizację jednostki GROM, jednego z najbardziej udanych przedsięwzięć wolnej Polski. Poczytuję sobie za zaszczyt, że miałem okazję pilotować tę sprawę na samym jej początku.

Z moim zatrudnieniem w resorcie był pewien problem formalny, dobrze ilustrujący ten nieco rewolucyjny czas. Będąc już na Rakowieckiej wciąż byłem poszukiwany przez Prokuraturę Wojskową w związku z uchylaniem się od służby wojskowej (byłem wówczas członkiem opozycyjnego ruchu „Wolność i Pokój”, sprzeciwiającego się odbywaniu służby wojskowej w rygorach komunistycznego państwa). Po międzyresortowych konsultacjach (prowadzonych przez ministra Kozłowskiego) zostałem przeniesiony w MON do rezerwy w stopniu szeregowego, przyjęty do służby w MSW w stopniu młodszego chorążego Milicji Obywatelskiej, a zatrudniony na etacie przysługującym stopniowi generała brygady. Moja obecność w otoczeniu ministra Kozłowskiego stała się zapewne dla funkcjonariusza szukającego mnie z pistoletem w hotelu „Karat” symbolem „nowych szczeniaków”, przez których, w jego mniemaniu, stracił pracę.

Wspomniane wyżej, łagodne w formie stosunki z funkcjonariuszami, w połączeniu z nieuchronnością upadku całego systemu i brakiem nadziei na polityczną osłonę, spowodowało osiągnięcie jednego z najważniejszych celów: rozbicia wewnętrznej solidarności korpusu funkcjonariuszy SB. Stopniowo uruchamiał się system wzajemnych oskarżeń, których celem było zwykle wybielenie własnej przeszłości. Dzięki temu można było uzyskać wiedzę, do której inną drogą można by dochodzić latami albo w ogóle jej nie poznać.

Innym mechanizmem było zwykle ludzkie zaufanie, jakie pp. Kozłowski i Milczanowski w krótkim czasie zdobyli sobie wśród funkcjonariuszy, którzy uwierzyli, że z nowym kierownictwem można pracować, a i że oni są w stanie podołać wymogom nowego państwa. Z każdym spotkaniem narastała przewaga tej garstki „nowych”, wciśniętych między Kiszczaka i zwalnianych esbeków. To nie znaczy, że to się automatycznie przekładało na możliwości pełnej i dokładnej weryfikacji. Z uwagi na wysoki stan liczebny funkcjonariuszy i krótki czas przeznaczony na weryfikację było to nierealne. Decyzja o automatycznym zwolnieniu prawie wszystkich zatrudnionych w departamentach do zwalczania kościoła i opozycji nie tyle była zemstą (powiedzmy szczerze: kontrwywiad i wywiad w ramach MSW był równie zaangażowany w te działania jak i inne departamenty), ile wyrazem pragmatyzmu. Przydatność i doświadczenie tych ludzi w związku z ich demoralizacją i ograniczonością, była dla nowego państwa zerowa. Ale nie byli oni w stanie tego zrozumieć. Wyjątki, jakie uczyniono nie wyszły Urzędowi na dobre – dla ilustracji tej tezy wystarczy przypomnieć dokonania pułkownika Lesiaka.

Ale przecież informacje uzyskiwane od funkcjonariuszy nie koncentrowały się na przeszłości. To, co mnie osobiście i moich kolegów najbardziej interesowało, to pragmatyka działania służb specjalnych, wiedza o organizacji i sposobie działania innych tego typu instytucji na świecie, nabywanie wiedzy o operacjach i metodach działania służb. Myśleliśmy wówczas, że weryfikacja i sprawy dotyczące przeszłości to rodzaj pracy asenizacyjnej, koniecznej do wykonania, lecz przecież nie najważniejszej. Najważniejsze było powstanie sprawnych służb specjalnych nowego i niepodległego państwa, wolnych od politycznego uwikłania, cenionych przez wszystkich, a nade wszystkim na tyle silnych, by chronić Polskę przed zagrożeniami. Innymi słowy, to przyszłość zdawała nam się najbardziej ekscytująca, a nie szafy byłych esbeków. Cóż za piękne złudzenie!

Z tego złudzenia powstało Biuro Analiz i Informacji. O podobnym rozwiązaniu istniejącym we Francji usłyszałem od jednego z funkcjonariuszy. Po dostarczeniu materiałów zdołałem przekonać szefów do potrzeby posiadania tego typu narzędzia do prowadzenia białego wywiadu. Zadaniem BAIi było legalne zdobywanie informacji z przestrzeni publicznej i przetwarzanie ich w sposób dający pionom operacyjnym możliwość reakcji w sytuacjach tego wymagających. Przy okazji niejako antycypowaliśmy tę wielką zmianę, jaką była rewolucja informatyczna i znaczenie mediów we współczesnym świecie. Pierwszym dyrektorem BAIi został Konstanty Miodowicz, lecz wkrótce został przeniesiony na stanowisko dyrektora Zarządu Kontrwywiadu (z pożytkiem dla jednego i drugiego), a na jego miejsce powołano Piotra Niemczyka – faktycznego twórcę Biura i jego sukcesu. W powołaniu takiej jednostki miałem także dodatkowy cel. W pierwszych miesiącach jego funkcjonowania widać było, że pionowie operacyjne posiadają olbrzymie możliwości pakowania w atrakcyjny „papier” bardzo oczywistych danych. Biuro było więc pomyślane jako rodzaj wewnętrznej kontroli jakości: dopiero tam, gdzie się kończyły możliwości białego wywiadu, powinny zaczynać się kompetencje pionów operacyjnych. Nie zawsze późniejsi szefowie UOP potrafili korzystać

z tego narzędzia, a pionierzy operacyjne niechętnie przyjęły taką „konkurencję”. Biuro kierowane przez Niemczyka wkrótce zgromadziło i wykształciło cały zastęp świetnych analityków, w większości z nowego naboru. Rozproszenie i częściową utratę tak wyselekcjonowanych kadr po paru latach istnienia tej jednostki uważam za wielki błąd i stratę dla służby.

Właśnie wtedy, gdy rodziła się koncepcja Biura, gdy byliśmy w trakcie tego pierwszego „pionierskiego” okresu (czerwiec – sierpień 1990), zaczęły się zbierać na horyzoncie chmury, których kształtu, ani tego co ze sobą niosą, zupełnie nie doceniliśmy. Pojawiły się pierwsze symptomy „wojny na górze”, obóz Solidarnościowy zaczął się dzielić. Konsekwencje polityczne nie dały na siebie czekać: zwycięstwo Wałęsy nad Mazowieckim, a następnie – kolejny podział w obozie zwycięzców i oskarżenia o wykorzystywanie służb specjalnych przeciw konkurentom politycznym. Pierwszą ofiarą tego procesu stało się właśnie Biuro Analiz i Informacji, oskarżone później, w 1993 roku, o inwigilację prawnicy (sprawa tzw. „instrukcji 0015”). Jest absolutnym paradoksem, że oskarżenia te dotknęły jednostkę, która była synonimem „nowego” w służbach specjalnych, a do tego kierowana była przez człowieka mającego poczucie patriotyzmu i lojalności wobec prawa, którego polityczni oskarżyciele do tej pory nie potrafili się nauczyć.

Innym nowym tworem powstałym w tym okresie było Biuro Koordynacji i Prognoz, pomyślane jako organ sztabowy Szefa UOP. Biuro to w założeniu miało agregować informacje z pionów operacyjnych i białego wywiadu, przetwarzać je na użytek Szefa UOP i odbiorców zewnętrznych oraz wspomagać kontrolę i planowanie w służbach w oparciu o analizę zagrożeń i procesów niewidocznych z perspektywy pojedynczej jednostki organizacyjnej Urzędu. Wydawało się, że BKiP będzie również odpowiedzialną za zauważalną miałość intelektualną jednostek analitycznych departamentów wywiadu i kontrwywiadu. Pomysł na utworzenie Biura był równocześnie skutkiem diagnozy dotyczącej słabości pracy byłej SB, tj. „rozbiecia dzielnicowego” na poszczególne pionierzy, konkurujące ze sobą i mało skłonne do współpracy. Tymczasem tendencja w nowoczesnych służbach była odwrotna: jak najwięcej połączonych operacji i koordynacji między pionierzy zajmującymi się bezpieczeństwem wewnętrznym i zewnętrznym. Na ile jest to ważne w pracy służb specjalnych, światowa opinia publiczna mogła się przekonać na przykładzie wydarzeń z 11 września 2001r. tj. zamachów na World Trade Center. Ale problem ten był zauważalny już na długo przed tymi wydarzeniami. Będąc pomysłodawcą BKiP, zostałem jego pierwszym i jedynym szefem, gdyż w roku następnym, wiosną 1991, zostało ono zlikwidowane. Eksperyment nie powiódł się, przeschł się nie przyjął. Z pewnością taki koniec był przede wszystkim wynikiem braku umiejętności z mojej strony do wystarczająco jasnego przekonania zwierzchników o możliwościach, jakie niesie taka jednostka. Był to jednak już inny czas, niż ten z lata poprzedniego roku. Krzysztof Kozłowski, po objęciu fotela ministra spraw wewnętrznych po gen. Kiszczaku, odszedł z resortu po wygraniu wyborów prezydenckich przez Wałęsę, a otoczenie nowego Prezydenta miało wyraźne ambicje stworzenia podobnej jednostki w ramach własnych struktur (i najchętniej przejścia całego sektora wyłącznie do swojej dyspozycji). Później obserwowałem w innych krajach wzrost znaczenia jednostek analitycznych wspomagających procesy decyzyjne w obrębie służb specjalnych. Być może takie rozwiązanie nie pasuje do specyfiki naszego rodzimego sektora bezpieczeństwa. Podobnie jak marzenia o jego apolityczności, uznaniu, czy stabilności. Może tak naprawdę Polska należy do krajów skazanych na pewien rodzaj stagnacji w tej dziedzinie?

Nie, to zbyt śmiała teza. Teraz, po latach, wiem ile naiwności było w naszym ówczesnym skoncentrowaniu się na przyszłości, z lekceważeniem tego, co było. Scena przywołana na początku tego tekstu była rodzajem aberracji w świecie, który takiego idealizmu po prostu nie toleruje. W ostateczności dopiero teraz, z trudem i po grudzie, pozbywamy się balastu czasów komunizmu upowszechniając wiedzę o uwikłaniach ludzi w tamten system, udostępniając archiwalia, prace naukowe o sposobie tamtego zniewolenia. Tak długo, jak służby specjalne były depozytariuszem archiwów b. SB, tak długo niemożliwe było stworzenie stabilnej instytucji, i tak długo na każdego, kto się w budowę sektora bezpieczeństwa w Polsce zaangażował, padał cień oskarżenia o udział w nieczystej grze przeszłością. Kwestia stosunku do PRL na dziesięciolecie stała się najważniejszą kwestią polityczną, do tej pory dzielącą partie i opinię publiczną. Historia UOP jest częścią tego sporu. To jedno. Drugie – to natura demokracji, niestającej konkurencji, pozwalającej sięgnąć po każdy argument publiczny, który pozwala odebrać władzę przeciwnikowi. Podobny mechanizm tylko w „starych” demokracjach nie dewastuje struktur państwa, ale i tam zdarzają się skandale podważające zaufanie do służb specjalnych, szczególnie narażonych na ataki, polityczne oskarżenia (prawdziwe i zmyślane) i uwikłanie w grę o władzę. Żadne prawo tego nie zmieni, ograniczyć to może tylko dobry obyczaj, a ten kształtuje się przez pokolenia.

Gdybym wtedy, w roku 1990 wiedział, że to, co sądzę o przyszłości służb specjalnych w Polsce tak rozminie się z rzeczywistością, czy zdecydowałbym się na służbę w nich? Mimo wszystko tak. Wszyscy, których tu wymieniłem z nazwisk ponieśli większą lub mniejszą klęskę. Instytucja, której służyli nie jest synonimem bohaterstwa i czystości, a to, co zrobiliśmy dobrego, okrywa niepamięć lub kamienna płyta tajemnicy państwowej. W zbiorowej wyobraźni bohaterem tamtych czasów został cyniczny ubek z „Psów” Pasikowskiego grany przez Bogusława Lindę. My na co dzień spotykaliśmy jego rzeczywistych odpowiedników, lecz w zdecydowanej większości przypominali oni bardziej ludzi układających tory pod jeżdżącą kamerę niż Lindę, o ich zdolności do heroizmu już nie wspominając. To bolesny bilans dla ludzi, którzy przyszli do tej służby z takim samym przekonaniem, z jakim wcześniej szli do więzień i aresztów, a jeśli sytuacja wymagała tego – gotowi byli poświęcić życie, czego na szczęście nam oszczędzono. Bo byliśmy, niezależnie od różnic wieku, z pokolenia Wielkiej Tęsknoty za własnym państwem, wolnym i demokratycznym. Próbowaliśmy tę tęsknotę urzeczywistnić w sektorze szczególnie trudnym, a nikt nam nie obiecywał, że będzie łatwo. Wręcz przeciwnie, było wiele znaków, że łatwo nie będzie. Pamiętam, jak na początku służby wpadła mi w ręce książka Wrighta „Łowca szpiegów”. Na początku autor opisuje swoje spotkanie po II wojnie światowej z twórcą „dubble cross system” – najefektywniejszego w czasie wojny brytyjskiego systemu kontrwywiadowczego. W kompletnej nędzy, głodującego w jakiejś brudnej dziurze, zastał człowieka, o którym nie tylko zapomniano, lecz którym wręcz wzgardzono. I działo się to w jednej z ikon demokratycznego ładu państwowego. Historia służb zna wiele takich przypadków. Ale tylko osobnicy niedojrzali mogą być z tego powodu rozgoryczeni. Bo człowiek dojrzały nie oczekuje od państwa wdzięczności. Państwa nie mają moralności i nie są istotami żywymi. Są abstrakcją, ideą. Jak się idzie na służbę idei, trzeba brać pod uwagę możliwość poniesienia osobistej klęski. Tu racją działania jest rodzaj wewnętrznego zobowiązania, poza kategorią nagrody, sukcesu lub klęski. Uważam, że nie ma większego honoru od służby swojemu państwu w sprawach dla niego ważnych, niezależnie od konsekwencji. Dlatego, nie tylko nie żałuję okresu pracy w służbach, ale jestem z niego dumny.

Na koniec jedna uwaga. A raczej anegdota, którą opowiedział mi mój szef, Krzysztof Kozłowski. Pewna służba wywiadowcza obcego państwa świetnie wyszkoliła swoich oficerów, zarówno w pozyskiwaniu zaufania, jak i w sporządzaniu raportów. Kosztowało to niemało czasu i pieniędzy. Następnie, niektórzy z tych oficerów prowadzili dialog z pewnym panem, zapraszając go na obiady i kolacje, a potem opisywali to w swoich raportach, tak jak ich nauczono. Inna służba, tym razem kontrwywiadowcza, poświęciła mnóstwo czasu i pieniędzy na wyszkolenie z kolei swoich oficerów, by w sposób tajny potrafili włamywać się do placówek dyplomatycznych, gdzie działali oficerowie wywiadu i wykraść ich raporty. Aż pewnego dnia, ten pan, z którym ni-by-dyplomaci chodzili na kolacje, zrzędzeniem boskim został bardzo ważnym urzędnikiem państwowym, i dostał na biurko wszystkie te raporty, które jedni o nim pisali, a drudzy wykradali. Tym panem był sam minister Kozłowski. Żałował tylko, że w tych papierach nie było menu biesiad.

Minister opowiedział mi tę anegdotę ku przestrodze, jak sadzę, by nie uważać siebie za posłannika Najważniejszych Rzeczy na Świecie. Dedykuję to teraz młodym funkcjonariuszom Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Po prostu trzeba robić swoje z tą odrobiną dystansu, która tak dobrze służy skuteczności i dojrzałości ludzi nie oczekujących zbyt wiele po wyborach, jakich dokonali.